HARCERZ



NUMER JUBILEUSZOWY

2 WARSZAWSKIEJ DRUŻYNY Z. H. P.

IM. TADEUSZA REYTANA

10 KWIETNIA 1927 R. OGÓLNEGO ZBIORU Nr. 15—16.

DRUŻYNA — TO NIETYLKO DRUŻYNOWY I HARCERZE, NIETYLKO ZMARLI, ŻYWI I CI, CO PRZYJDĄ, NIETYLKO KRZYŻ Z ORŁEM NA POŚWIĘCONYM SZTANDARZE. DRUŻYNA — TO WSZYSTKIE JASNE, DOBRE CZYNY, SPEŁNIONE Z ZAPARCIEM SIĘ SIEBIE — DLA BLIŹNICH.

ZA POLSKĘ

Ś. † P.

druh ALFONS BORKIEWICZ — członek Naczelnej Komendy Skautowej, zmarł w Orle, w trzecim roku katorgi r. 1915.

druh KAZIMIERZ CICHOWSKI — zastępowy, ppor. W. P. zginął śmiercią żołnierską dnia 23.VIII-20 pod Hrubieszowem.

druh MARCELI DRABICH — ranny 13 stycznia w obronie Lwowa, zmarł 1 marca 1919 r.

druh ALEKSANDER JARZĘCKI — zastępowy, zaginął bez wieści podczas walk w latach 1918—1920.

druh KRZYSZTOF KOWERSKI — zastępowy, zginął śmiercią żołnierską dnia 21 marca 1919 r. pod Gródkiem Jagiellońskim.

druh WACŁAW KWIECIŃSKI — plutonowy, ppor. W. P. zginął śmiercią żołnierską dnia 23.VIII-20 pod Berezyną.

druh ALEKSANDER ZAWADZKI — zastępowy, zmarł w 1917 r. zaziębiwszy się podczas ćwiczeń wojskowych.

druh STANISŁAW ZEMBRZUSKI — zastępowy, zginął śmiercią żołnierską dnia 13 stycznia 1919 roku.

*
* *

Piętnaście lat mija od chwili, kiedy pierwszy zastęp tworzącej się „Dwójki" warszawskiej rozpoczął służbę harcerską. W tym samym roku 1911 na całym obszarze Rzeczypospolitej powstawały podobne zastępy i wiele, wiele z nich rozrosło się dzisiaj do rozmiarów licznych, zasłużonych drużyn.

Wydając numer, poświęcony pamięci ubiegłych lat naszej pracy, niejako słup wiorstowy na naszej harcerskiej drodze, łączymy się myślą serdeczną z drużynami, które ją rozpoczęły z nami wspólnie.

Wiemy, że w dziejach harcerskich wiele pięknych kart zatarły lata, wiele szczytnych czynów pokryło zapomnienie, chcielibyśmy choć maleńki fragment historji Harcerstwa wydrzeć zatraceniu. Może to będzie podnietą, dla innych bratnich drużyn Związku do zachowania tych skarbów i przekazania następnym harcerskim pokoleniom tradycji, jak służyło kiedyś Polsce Harcerstwo i jak służy obecnie.

Reytaniacy.

NASZE DZIEJE

Rok szkolny 1911/12. W listopadzie r. 1911 na terenie szkoły polskiej Pawła Chrzanowskiego, dzisiaj im. Jana Zamoyskiego, w Warszawie (Smolna 30) powstają dwa niezależne, konspiracyjne zastępy harcerskie, tworząc w ten sposób zaczątek przyszłej Drużyny im. Tadeusza Reytana. Pierwsza zbiórka harcerska odbywa się dnia 5 listopada.

Praca rozwija się bardzo pomyślnie, ogarniając coraz liczniejsze grono chłopców, już z końcem roku szkolnego istnieją dwa samodzielne plutony, liczące razem około 50 chłopców, których komendantami są druhowie — Jan Tròszyński i Stanisław Rudnicki. W lecie wycieczka wędrowna — Puławy, Kazimierz, Janowiec, Sandomierz, Opatów, Góry Świętokrzyskie, Kielce, Jędrzejów, Miechów, Ojców.

1912/13. We wrześniu r. 1912 samodzielnie istniejące plutony połączone zostają w jedną drużynę im. T. Reytana, której kierownictwo obejmuje dh. Jan Tròszyński; plutony w tym okresie prowadzą druhowie: Tadeusz Maresz i Stanisław Rudnicki. Pozatem przy drużynie zorganizowany zostaje przez dha prof. Florjana Francikowskiego oddział przygotowawczy (gromada wilcząt). W jesieni r. 1912 kurs na stopień młodzika, podczas świąt Bożego Narodzenia kurs dla zastępowych, zakończony przyrzeczeniem, które odebrali: ś. p. ks. Kazimierz Lutosławski i dh. Czesław Jankowski. Drużyna liczy 70 chłopców. Latem wycieczka wędrowna — Białowieża, Litwa, oraz szlak Warszawa, Sandomierz, Kielce, Zagłębie, Piotrków, Łódź.

1913/14. Drużynę obejmuje dh. Piotr Olewiński, składa się ona w tym okresie z trzech plutonów, których kierownictwo spoczywa w rękach druhów: Maresza, Rudnickiego i Szmurły. W święta Bożego Narodzenia kurs dla zastępowych. Podczas wakacyj trzecia w roku wycieczka wędrowna, zakończona dziesięciodniowym obozem w Górach Świętokrzyskich; wycieczkę i obóz prowadzi dh. Rudnicki.

1914/15. W październiku drużynowym zostaje dh. Stanisław Rudnicki; plutony prowadzą druhowie — Jan Szmurło, Stanisław Podwiński i Marek Gniazdowski. W związku z wybuchem wojny starsi chłopcy pełnią służbę sanitarną na dworcach kolejowych i w szpitalach — kilkunastu chłopców zostaje odznaczonych krzyżami. Z inicjatywy drużyny Reytana zorganizowany zostaje dla 3-ch drużyn warszawskich kurs sanitarny i pożarniczy. W lecie miesięczna kolonja w Julinie.

1915/16. Po opuszczeniu Warszawy przez Rosjan drużyna bierze udział w organizowaniu t. zw. poczty obywatelskiej, w Komitecie Opieki nad Rodzinami Rezerwistów i w Komitecie Obywatelskim m. st. Warszawy. W związku

z powstaniem w tym okresie na terenie Warszawy dwóch organizacyj skautowych, w szkole następuje rozdział na dwie odrębne drużyny. Drużynę zależną od „Starej Komendy" prowadzi dh. St. Rudnicki, liczy ona pięć zastę-



Konspiracyjna wycieczka rok 1913 — Płudy.
Drużynowy Trószyński.

pów; drużynę, należącą do P. O. S. i liczącą 14 zastępów szkolnych, oraz pluton chłopców ze szkół powszechnych, dh. St. Podwiński. W maju r. 1916 następuje połączenie obu organizacyj skautowych, a tem samem i obu drużyn. Połączoną drużynę obejmuje dh. Podwiński; stan liczebny drużyny wynosi 167 chłopców, podzielonych na 5 plutonów, z tego jeden złożony z młodzieży robotniczej. W lecie parotygodniowy obóz pod Płudami, prowadzony przez dha Adama Wędrowskiego.

1916/17. Na początku roku szkolnego drużyna liczy 100 chłopców. W styczniu r. 1917 drużynę obejmuje dh. Stanisław Rudnicki. W tym czasie drużyna, licząca dwa plutony zdobywa własną izbę oraz urządza „Szopkę Harcerską".

1917/18. W jesieni drużynowym mianowany zostaje dh. Wiktor Skiwski; w tym okresie drużyna liczy około 50 chłopców. Odbywa się kurs dla zastępowych oraz kursy sprawnościowe. Obóz letni w Obrębcu.

1918/19. W jesieni r. 1918 normalna praca w drużynie zostaje przerwana, z powodu utworzenia się Pogotowia Młodzieży, do którego należą wszyscy starsi chłopcy z drużyny. Z początkiem roku 1919 drużyna wznawia normalną pracę; w okresie tym zmienia się kilku drużynowych. Drużyna bierze udział w przeglądzie drużyn harcerskich przez Misję Koalicyjną oraz w wystawie i popisach w Pomarań-



Wycieczka do Szamocina
21 maja 1916 r.

czarni i Agricoli. Podczas lata obóz stały w Woli Kiełpińskiej; po obozie wycieczka wędrowna — Warszawa, Sandomierz, Tarnów, Wieliczka, Kraków, Zakopane, Piotrków, Warszawa.

1919/20. We wrześniu drużyna liczy 107 harcerzy, podzielonych na trzy plutony. Drużynę prowadzi dh. Tadeusz Rudnicki. Drużyna zdobywa dwa pierwsze miejsca w zawodach lekkoatletycznych okręgu, bierze udział w w zbieraniu ciepłej odzieży dla żołnierza polskiego. W czasie Bożego Narodzenia wycieczka starszych chłopców do Skalmierzyc, Ostrowia, Poznania i Gniezna. W lecie trzytygodniowy obóz w Piaskach Ruskich. Po obozie zastęp szarż udaje się na wycieczkę plebiscytową na Śląsk Górny i Cieszyński. Podczas inwazji bolszewickiej wszyscy chłopcy ponad lat 16-cie zgłaszają się do służby wojskowej, pozostali zaś do służby pomocniczej.

1920/21. Praca w drużynie, złożonej z chłopców młodszych rozpoczyna się z końcem września. Po powrocie starszych z wojska, drużyna zaczyna funkcjonować normalnie. W okresie tym zmienia się paru drużynowych, ostatecznie w marcu drużynę obejmuje dh. Jan Kułakowski. Podczas wakacyj miesięczna kolonja drużyny w Chałupach na Helu, połączona z szeregiem wycieczek.

1921/22. Z początkiem roku szkolnego drużyna posiada 110 harcerzy i dzieli się na trzy plutony Organizuje się chór i orkiestra drużyny; pracuje pięć warsztatów; chłopcy prowadzą korespondencję ze skautami zagranicznymi; wychodzi kilka numerów pisma drużyny. Drużyna



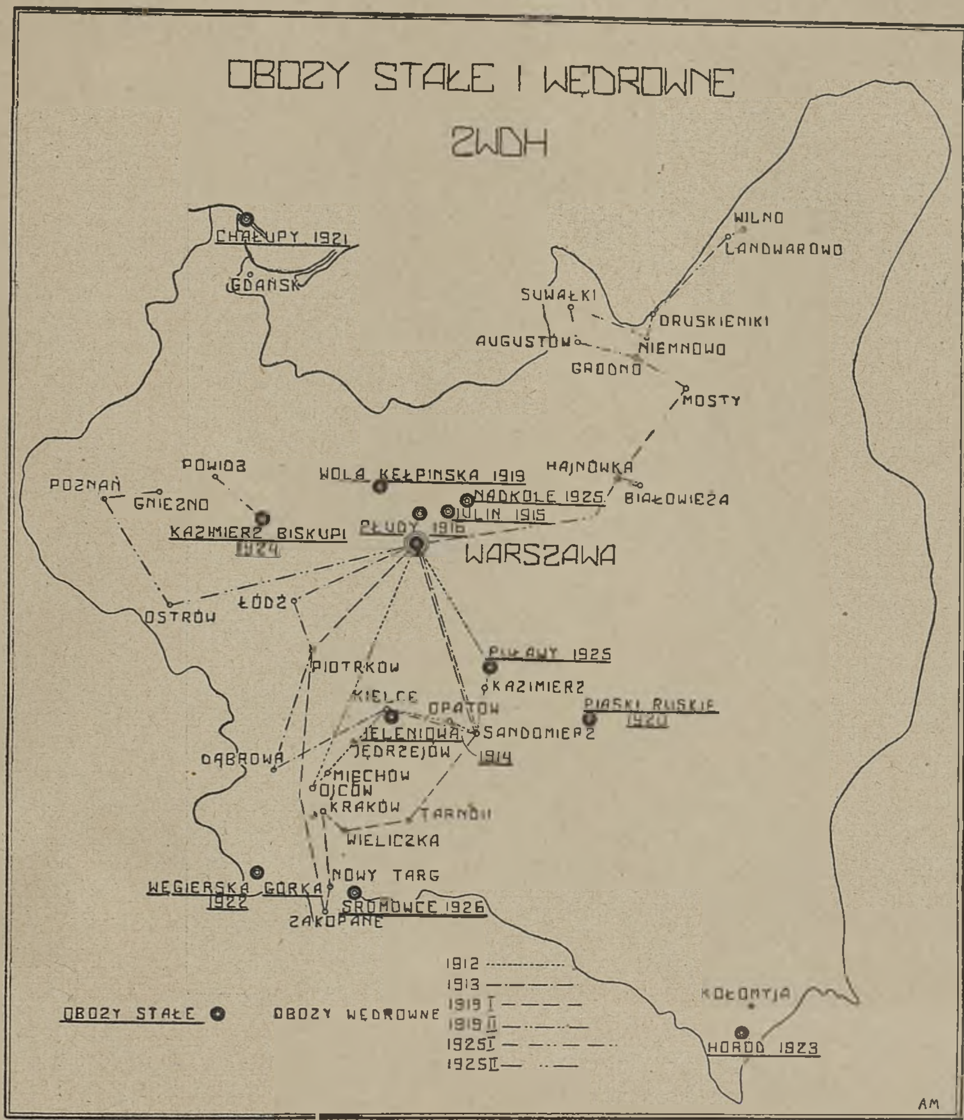
Ś. p. dh Koziciński ze swym zastępem
r. 1917.

urządza uroczysty obchód dziesięciolecia swego istnienia. Organizuje się Koło Przyjaciół. Pierwszym prezesem Koła był p. Józef Janota Bzowski. Podczas Wielkiej Nocy wycieczka do Ojcowa i Pieskowej Skały W czerwcu drużyna bierze udział w Zlocie Chorągwi Warszawskiej. Wakacje drużyna spędza w miesięcznym obozie w Węgierskiej Górce pod Żywcem; wycieczki na Babią, Baranią i t. d. Po obozie wycieczka do Zakopanego i w Tatry. Trzech członków drużyny bierze udział w pierwszym kursie instruktorskim Chorągwi Warszawskiej w Kazuniu Polskim.

1922/23. Drużynę w dalszym ciągu prowadzi dh. Jan Kułakowski; stan liczebny drużyny wynosi 70 chłopców — trzy plutony. Zostaje ułożony i zatwierdzony regulamin drużyny Prezesem K P. H jest p. Jan Szpakowicz, a następnie p Wł. Dąbrowski W lecie sześciotygodniowy obóz drużyny w Horodzie pod Kosowem, połączony z pięciodniową wycieczką na Howerlę. Kilku chłopców bierze udział w wycieczce harcerzy polskich do Węgier

1923/24. Po obozie organizuje się przy drużynie „Gromada Reytaniaków", złożona z wychowanków drużyny. Drużynę prowadzi dh. Wiesław Szpakowicz. W grudniu, w

związku z zaleceniami tworzenia mniejszych drużyn harcerskich, zorganizowana zostaje przez dha Zbigniewa Szyszkowskiego nowa równoległa drużyna, która otrzymuje numer „Czwórki“, zachowując jednak wspólnego z „Dwójką“ Patrona. Obie drużyny zgłaszają się do zawodów o „Mistrzowstwo w Związku“. W lutym „Dwójkę“



Mapka obozów i dłuższych wycieczek drużyny.

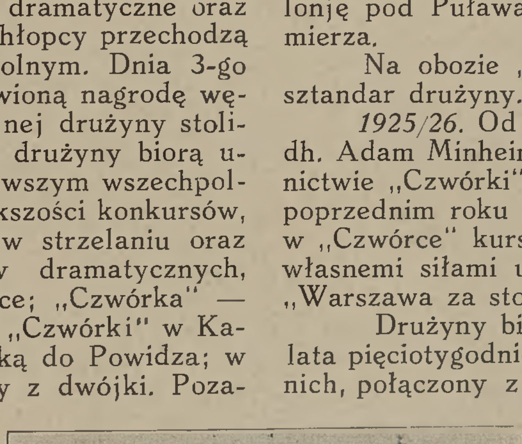
obejmuje dh. Czesław Kączkowski. Istnieje wspólny kurs obu drużyn dla zastępowych, pozatem w „Dwójce“ szereg kursów sprawnościowych, jak: samarytański, strzelecki, radjotelegraficzny. Organizuje się kółko dramatyczne oraz szereg kółek przyrodniczych. Najstarsi chłopcy przechodzą przysposobienie wojskowe w hufcu szkolnym. Dnia 3-go Maja „Dwójka“ zdobywa świeżo ustanowioną nagrodę wędrowną K. Ch. oraz miano reprezentacyjnej drużyny stolicy. Drużyna ta zdobywa sztandar. Obie drużyny biorą udział w wystawie harcerskiej oraz w pierwszym wszechpolskim Zlocie Narodowym, i stając do większości konkursów, zdobywają: Dwójka — mistrzowstwo w strzelaniu oraz pierwszą nagrodę w konkursie artystów dramatycznych, w ogólnej zaś kwalifikacji: ósme miejsce; „Czwórka“ — dziewiąte. Po zlocie miesięczna kolonja: „Czwórki“ w Kazimierzu Biskupim, połączona z wycieczką do Powidza; w kolonji tej biorą również udział chłopcy z dwójki. Pozatem paru chłopców z „dwójki“ bierze udział w międzynarodowym Zlocie w Kopenhadze.

1924/25. W końcu września drużynę 2-gą obejmuje dh. Marjan Łowiński; drużynę 4-tą prowadzi w dalszym ciągu dh. Szyszkowski. Razem drużyny liczą około osiemdziesięciu chłopców, pozatem zorganizowana zostaje przez dha prof. Andrzeja Starzyńskiego „gromada wilczków“, Drużyna 2-ga zgłasza się do zawodów o tytuł „Pierwszej Drużyny Rzeczypospolitej“, w drużynie wysoko stoi wyrobienie techniczne; kółko dramatyczne daje kilka przedstawień w Warszawie i na prowincji. W „Czwórce“ istnieje w tym okresie kurs dla zastępowych; na wiosnę drużyna ta wystawia własnemi siłami szopkę harcerską. Obie drużyny biorą udział w Zlocie Chorągwi w Pyrach, gdzie „Dwójka“ zdobywa powtórnie „Mistrzowstwo Chorągwi“. Podczas lata „Dwójka“ bierze udział w obozie zawodniczym w Nadkolu, poczem urządza wycieczkę wędrowną do Białowieży i na Wileńszczyznę, „Czwórka“ zaś sześciotygodniową kolonję pod Puławami i wycieczkę do Sandomierza i Kazimierza.

Na obozie „Czwórka“ otrzymuje w darze piękny sztandar drużyny.

1925/26. Od wakacyj do grudnia „Dwójkę“ prowadzi dh. Adam Minheimer, następnie dh. Stefan Łoś; w kierownictwie „Czwórki“ zmiany nie zachodzą. Podobnież, jak w poprzednim roku szkolnym, istnieje „Gromada wilczków“; w „Czwórce“ kurs dla zastępowych. Na wiosnę „Dwójka“ własnemi siłami urządza imprezę dochodową, pod nazwą „Warszawa za sto lat“.

Drużyny biorą udział w zawodach K. Ch. Podczas lata pięciotygodniowy obóz drużyny w Sromowcach Niżnich, połączony z wycieczką do Szczawnicy i okolic.



Wycieczka na Trzy Korony 1926 r.

W powrotnej drodze do Warszawy zwiedzanie Krakowa.

Obóz prowadzą druhowie Szyszkowski i Mieczysław Dybczyński.

Jesień r. 1926. Dnia 4 października r. 1926. czyli niemal w piętnastą rocznicę istnienia Harcerstwa na terenie szkoły Zamoyskiego, następuje połączenie obu drużyn.

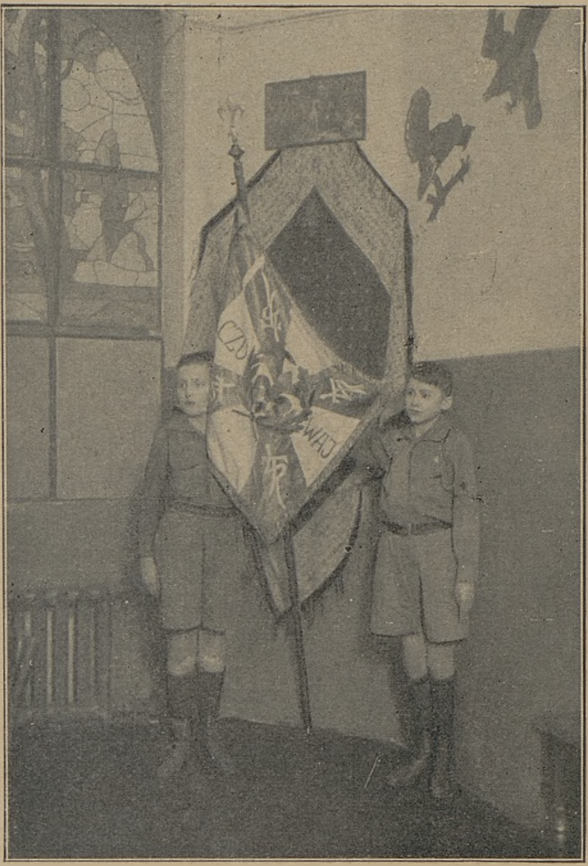
Połączona drużyna liczy 92 ludzi, kierownictwo zaś jej obejmuje dh. Szyszkowski.

POŚWIĘCENIE SZTANDARU

Było to 30 grudnia 1926 roku... dnia tego nigdy nie zapomnę, a nie zapomnę go z kilku przyczyn; najważniejszą jest ta, że pierwszy raz w życiu, (a, daj Boże i nie ostatni) ujrzałem Ojca Świętego — władcę świata chrześcijańskiego.

Jego Świętobliwość Pius XI wyznaczył pielgrzymce polskiej, wraz z innemi, audjencję u siebie w Watykanie.

Dnia tego słońce świeciło na pogodnem niebie od samego rana, co w Rzymie o tej porze jest wielką rzadkością — większa część ludzi nosi z sobą zawsze parasole, gdyż pogoda jest bardzo zmienna i podczas małej, choćby dwugodzinnej przechadzki po mieście, można zaobserwować szybko po sobie następujące ulewy i znów słońce.



Uczestnicy naszej pielgrzymki z dumą patrzeli na termometr, wskazujący 20° C. w cieniu i cieszyli się, że są „na prawdziwem południu".

O godzinie 10 rano pielgrzymi polacy ustawili się pod kolumnami na placu Św. Piotra przed wejściem do Watykanu.

Druh Tadzik Kozłowski i ja mieliśmy pieczę nad sztandarem naszej drużyny „dwójki warszawskiej" i pamiętaliśmy o poleceniu, aby starać się o poświęcenie go przez Papieża.

Sztandary oczywiście były na czele pochodu.

Nareszcie dano znak i cały pochód ruszył.

Szliśmy przez olbrzymie marmurowe schody (w Rzymie nigdzie drewnianych nie widziałem) najprzód do góry, potem na dół i znaleźliśmy się w sali, która miała być świadkiem następnych wydarzeń.

Po drodze mijaliśmy służbę, która wyglądała nieco teatralnie w swych odwiecznych strojach, obmyślonych przez Michała Anioła.

Ustawiano nas to tak, to znowu inaczej, to znów jak poprzednio, zupełnie jak przed pochodem 3-go Maja w Warszawie.

Wreszcie i to się skończyło i teraz z drżeniem serca oczekiwaliśmy Namiestnika Chrystusowego.

Cóż za szczęście miało nas spotkać, mieliśmy ucałować rękę następcy Tego, któremu sam Pan Jezus powierzył pieczę nad całym Kościołem. I oto właśnie Ten który prowadzi dalej „Dzieło Chrystusowe" ukazał nam się w całym majestacie.

Orszak składał się z gwardji papieskiej i różnych dostojników Kościoła. Tuż za samym Ojcem Św. kroczył Ojciec generał Jezuitów, zwany „papieżem czarnym".

Uklękliśmy...

Ojciec Św. Pius XI posuwał się wolno przed szeregami i pozwalał całować się w rękę. Przed niektórymi stawał.

Ja zaparłem oddech i czekałem z naprężeniem swojej kolei.

Jeszcze trzech... jeszcze dwóch... jeden... Serce przestało mi bić... nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Nareszcie przystąpił i do mnie (Papież szedł od lewej strony, ja klęczałem z lewej strony Tadka, który trzymał sztandar, byliśmy w mundurach harcerskich), wziął mię za ramię, poklepał i coś rzekł O. Ledóchowskiemu. Kolej była na Tadka.

Jeżeli ja straciłem głowę, to cóż dopiero on, który miał prosić o poświęcenie: „Wasza... Świętobliwość... sztandar... harcerski... niepoświęcony". „Papież czarny" zrozumiał widać o co chodzi, bo szepnął Ojcu Św. parę słów.

I teraz... uwaga Harcerze całej Rzeczypospolitej! bo jest to dla nas wielki zaszczyt:

Ojciec Święty Pius XI w dniu 30 grudnia 1926 roku poświęcił sztandar drugiej warszawskiej drużyny harcerskiej im. Tadeusza Reytana.

Pobłogosławił nas i przeszedł dalej.

A myśmy zostali w niemym zachwycie, z otuchą w sercu, nową energją do pracy harcerskiej pod poświęconym sztandarem.

Władysław Kornecki
zastępowy „Jeleni" 2 W. D. H.

Obóz w Sromowcach. 1926 r.
Strzelnica

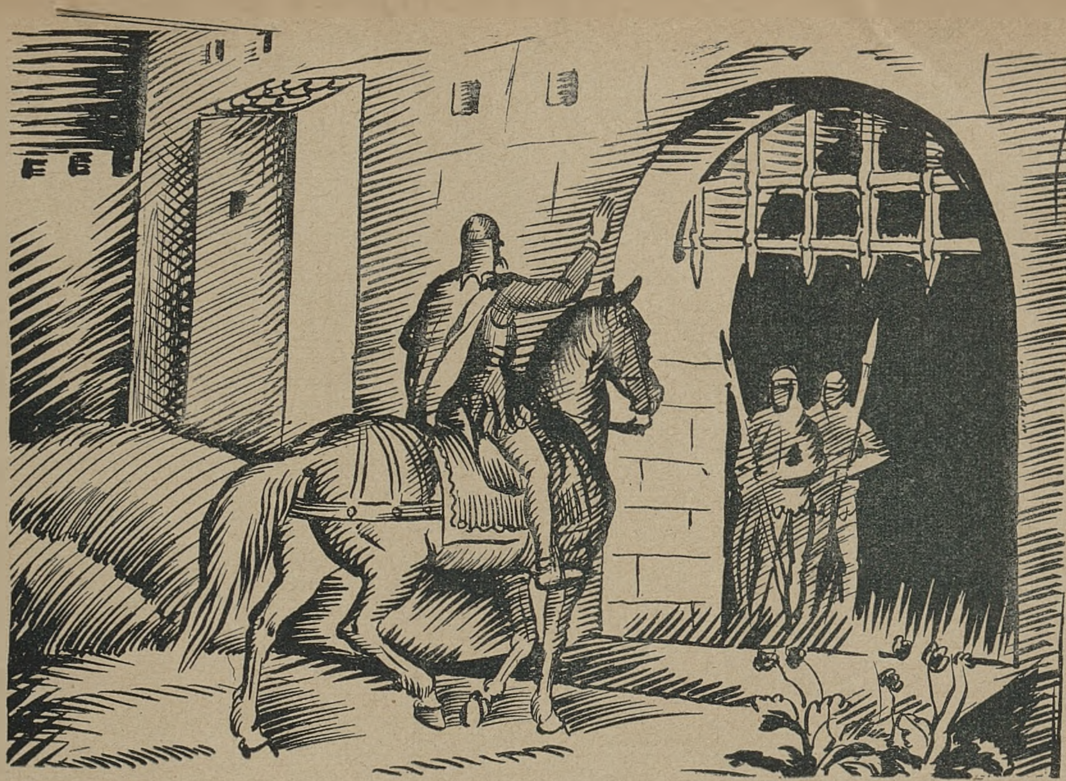




Sygnaliści
1921 r.

Obiad na Trzech Koronach
1926 r.





rys. J. Korolkiewicz.

L E G E N D A

Przez wielkie bory, wśród dżdżu i chłodu,
Spieniony rumak rwie od zachodu.
Gna po gościńcu kurzu obłokiem,
Jak wicher śmiga w polu szerokiem.
Stanął nad głębią zamkowych fos,
— Otwórzcie! — Goniec woła na głos.

* * *

Zwodzony pomost głucho zazgrzytał,
W bramie zadzwonią końskie kopyta.
Pianą okryte rumaka boki.
— Straże! przed króla wiedźcież bez zwłoki.
Brzmi po krużgankach pancerny krok,
Król w twarz posłańca wbił orli wzrok.

* * *

— Panie! Nowina iście grobowa,
Król Rzymski bije w ściany Głogowa.
Okólne pola zaległo mrowie,
Tarcza przy tarczy, głowa przy głowie.
Z murów obronnych sypie się gruz,
Aż kości trwogą przejmuje mróz!
Król wsparł dwie dłonie o wielki miecz,
I rzucił rozkaz ponury: — Precz!
Przez most zwodzony dzwoni podkowa,
Wraca posłaniec w mury Głogowa.

* * *

Nie minął tydzień wchodzą w podwoje,
Z poselstwem z grodu wysłani woje.
Hełmy spękane i rana broczy,
Głód im wyziera wilkiem przez oczy.
— Panie! nie zdzierżym, próżno zachodu,
Witezie w grodzie konają z głodu,
Pragnienie gardziel z wilgoci suszy,
Jak grad wróg ciska kamienie z kuszy.
Darmo łeb niemca gruchoce młot,
Nowe tysiące nadbiegną w lot.
A król wparł ręce w dziadowy miecz.
I rzuca rozkaz niezmienny: — Precz!
Przez most zwodzony podkowa dzwoni,
Wracają woje z poszczękiem broni.

* * *

Spojrzał Pan w okno. Wisłą na wschodzie,
Pożogę niosą pomorskie łodzie,
Kły wilcze ciągle po lasach szczerzy,
Łupu niesyte plemię Jaćwieży.
Rusin z południa, prusak z północy,
Napróżno Głogów woła pomocy.

* * *

— Wpuśćcie! — Znów poseł wszedł do komnaty,
Głowę owinął w skrwawione szmaty,
Głowicę miecza rozpacznie ściska,
Przez krwawe ślepia rozpacz mu błyska.
— Wodzu! napróżno nieludzki trud,
Gród musi upaść, oddamy gród!
Pan groźnie zmarszczył królewską brew;
Znać w wielkiej piersi zakipiał gniew.

* * *

— O Panie, ratuj! porwane syny,
Przytroczył Niemiec do swej machiny.
Ręka nie słucha, mąci się w głowie,
Niemasz obrońców w Twoim Głogowie! —
Król jednym krokiem postąpił wstecz,
I schrypłym głosem wyrzucił: — Precz!

* * *

Dzień minął, z gońcem wieść leci nowa:
— Wielki płacz matek w murach Głogowa,
Na grotach słońce zwycięsko świeci,
W zgliszczach wież wrażych konają dzieci,
Witezie nasi w okropnej męce,
Klną miecze własne i własne ręce.
Niemasz już niemca u naszych wrót!
Syny pobite — ocalał gród!"

* * *

Pierś Króla wzbiera wielkim oddechem,
Spojrzał na gońca z dziwnym uśmiechem,
Skinął na swoich, idzie w podwoje,
I woła gromko: „Konia i zbroję!"

* * *

Na kraje lecą wieści sokole:
Hasło: „Zwycięstwo", odzew: „Psie pole".

Witold Sawicki.

TYRALJERA

(ZE WSPOMNIEŃ REYTANIAKA)

Było to w r. 1913, około Wielkiej Nocy. Pod komendą drużynowego Janka Trószyńskiego wyruszyliśmy na wycieczkę w okolice Czarnej Strugi.

Nastrój był doskonały. Owiani świeżem powietrzem wiosny, maszerowaliśmy z radością i werwą. Wprawdzie, po pewnym czasie zaczęło się nam dawać we znaki zmęczenie ale nikt z tem się nie zdradził, a bezlitosne szarże zdawały się tego nie widzieć.

I tak, coraz nowe pochłaniając kilometry, wiara skracała sobie drogę śpiewem. Pamiętam, jak dziś, ze szczególnem zamiłowaniem, nawet z pasją niejako, śpiewaliśmy ulubioną pieśń powstańczą: „Hej, strzelcy wraz!".

Co kilka, kilkanaście minut przerywał śpiewy głos drużynowego i nasza kolumna czwórkowa łamała się w mniejsze oddziały, frontowała, wydłużała się w linję tyraljerską rozpryskiwała na wszystkie strony lub zgoła nikła w zaroślach.

Wreszcieśmy weszli na równą, miejscami lekko falistą szosę, prowadzącą do Radzymina. Trzeba było tutaj bacznie uważać, aby wśród, rzadkich zresztą, przechodniów, nie natknąć się na kogoś niepożądanego... To też drużynowy, według przepisów sztuki wojennej zarządził natychmiast „marsz ubezpieczony".

Nie minęło chyba pół godziny, gdy nagle wysunięte na czoło szyku „oko" (bodaj, że był niem piszący te słowa) dało znać, że naprzeciwko nas posuwa się jakaś podejrzana, szara masa. Drużynowy zatrzymał oddział i zaczął obserwować szybko zbliżający się punkt. Prędko zorjentował się, jaki nam nieprzyjaciel zagraża, zwołał wszystkich do siebie, rozrzucił w tyralierę i polecił ukryć się w lesie bezpośrednio przytykającym do szosy z lewej strony.

Rozkaz Janka wykonano sprawnie i dokładnie. Nie wiedzieliśmy, o co chodzi, ale intuicyjnie odczuwając niebezpieczeństwo, każdy z nas schował się za pień drzewa, najlepiej, jak umiał. Przypominając sobie, otrzymane zaledwie parę godzin temu wskazówki techniczne zachowania się w tyralierze, staraliśmy się teraz jaknajstaranniej je wykorzystać. Leżeliśmy tak w bezwzględnej ciszy dobrych kilka minut. Stopniowo zaczął nas dochodzić miarowy stuk kopyt i ponure zawodzenie... Wreszcie ujrzeliśmy — przejeżdżała rosyjska kawalerja. Jeszcze bardziej przywarliśmy do ziemi... Zdawaliśmy sobie sprawę, że w razie zauważenia przez moskali naszej tyraliery, skutki tego mogłyby być dla nas fatalne, gorsze, niż w wypadku zatrzymania nas idących szosą. Wszystko przecież poszło szczęśliwie nikogo nie zobaczono!

Kawalerja powoli znikła w oddali, a myśmy wrócili do naszych marszów i ćwiczeń, oddając się im z zapałem do samego wieczora.



Wycieczka w 1918 r.

Oto mały obrazek z życia naszego przedwojennego harcerstwa. Wiele innych drużyn przechodziło podobne, często ciekawsze, bardziej emoncjonujące i groźniejsze w skutkach przygody. Każda z nich mogła pociągnąć za sobą aresztowanie i gorsze represje ze strony Moskali,którzy upatrywali w ruchu skautowym zaciekłego swego wroga, słusznie odczuwając w harcerzach najmłodszych, ale również, jak ich starsi bracia, zdecydowanych, bojowników o Niepodległość Polski.

Tomasz Piskorski.

ODJAZD

KARTKA Z KRONIKI OBOZU W OLEŚNIAKU — LATO 1925

Młodzież nasza zmarniała, niema co gadać... Ongiś przed laty, brał chłopak plecak na grzbiet, dwie zmiany bielizny, kij wielgachny w łapę i szedł do lasu spać pod namiotem, który barwą wielce przypominał worek na kartofle.

Jedzenia było zawsze skąpo, albo go nie było wcale, więc bractwo żywiło się „korzonkami" a często-gęsto z kociołka wysuwała nogę nieboraczka wrona.

Plan zajęć był bardzo prosty: rano—musztra, po obiedzie (jeśli był)—musztra, wieczorem—musztra.

Druh komendant, a za nim oboźny, a za oboźnym zastępowi przybierali co chwila piękny kształt pruskiego samowara, a za nim wiara (było tego zawsze nad czterdziestkę) robiła to samo. Potem było „ajść" „bearsz", „sekcjami"—wszystko się ruszało, jak drewniane żołnierzyki na sznurkach, poczem szło wałkonić się po lesie.

A teraz... Wielki Boże!

Wybrało się to na „kolonję", jak sójki za morze. Rondle, kotły, garnuszki... Bierze taki jegomość plecaczynę z cielęcia i dalejże wkładać: na samym dole buty (tak pisało w Vade mecum). Do lewego buta karmelki od Wedla, do prawego „Fruziński". Dalej kajzerki z szynką, owinięte w skarpetki, proszek do zębów w papierowej torebce; czysta bielizna, na niej szczotka do butów. Okropności!!!

Zwijało to kocyk w domu dwie godziny, włożyło cielaka na ramionka i namyśla się: jechać na dworzec tramwajem czy taxem, aż tu—trach! pękł rzemyk na plecach, wszystko się sypie na podłogę: buty białe od proszku, Wedel się rozpuścił, Fruziński pachnie pastą do butów — zaczynaj od nowa.

Nareszcie proszek zebrało się do garnuszka i zatkało mocno papierem, kajzerki owinięte w koszulę—nic im nie grozi, szczotka do butów zmieści się bodać w kieszeni od spodni. Pastę można trzymać w ręku... Nowe nieszczęście!

Gdzie schować butelkę od Baczewskiego z mleczkiem, mydło, ręczniki? Eh, to głupstwo, Dalejże kuferek jeden... drugi... trzeci... Linka, szkicownik, łyżka do pierwszego, do drugiego zapasowy trzewik (jeden, bo drugiego... zapomniałem) i inne różności.

Naładowali to na platformę i wiozą, aż konie jęczą.

Pchają się do wagonów, jak szczury. Ten się zagubił, ten się spóźnił, ten chce usiąść przy oknie, ów zapchał drzwi tornistrem tak dokładnie, że ani naprzód, ani wtył. Ci go pchają z tyłu, ci sprawili mu lanie z przodu, gwałt i rwetes, jakby się dworzec palił, a gdzież jest ten „co na rzezie tłumy te wyprawia" — sam komendant obozu?



Bierze taki jegomość plecaczynę i dalejże ładować... *rys Antoni Kamieński*

Nie urągajcie mu. Oto siedzi do ostatniej chwili na pace i pisze IV raport odjazdowy (pierwszy był przy wyjściu z izby, drugi w drodze na dworzec, trzeci przed bileterem, czwarty na peronie, piąty...)

Odjazd! Fiuu... ruszyli.

Słyszał jeden z drugim, że prawdziwi harcerze śpiewają w podróży. Dalejże zaczynać! Cóż, kiedy każdy chce śpiewać z osobna, każdy radzi co innego, dwóch się popłakało, jeden poważnie zabiera się do bójki, inny obraził się na zastępowego i chce wracać do domu.

Jadą, jadą, jadą!

A każdemu koła dzwonią o szyny: „ja chcę jeść, ja chcę jeść, ja chcę jeść". To też kto nie zgubił kluczyka od kuferka, zabiera się do prowizji i zaczyna: czereśnie, cukierki, czekoladki, kurczę, bułki z masłem (najmniej smaczne — na końcu).

Przyjechali...

Znów ładuj graty na wóz, paki i paczuszki sypią się przez okna wagonu. Komuś przygnietli palec, komuś drzazga wlazła pod paznogieć. Wieża Babel!!!

I. OKOLSKI

ZE WSPOMNIEŃ KOLONJI

2 W. D. H. IM. REYTANA 1919 R.

Przeraźliwy głos gwizdawki... „W rozwiniętym!"—Pozornie pusty obóz napełnia się masą biegnących zewsząd postaci. W kilka sekund przed namiotami stoi rząd postaci różnego wzrostu i kalibru tworząc wzorową sinusoidę czy też inną para—albo hyperbolę. (W języku urzędowym nazywało się to pospolicie zbiórką).

„Cóż się stało z Mamutem?" zaniepokoił się nasz dręczyciel-oboźny przechadzając się przed frontem „zgromadzenia męczenników". „Pewno śpi" wyrazili przypuszczenie towarzysze, znający dokładnie naturę Mamuta. (Natura bardzo pierwotna: umie tylko jeść i spać). Oboźny śpiesznie ruszył ku namiotom. Okropny widok uderzył jego oczy... Nie! różne zdarzały się wypadki, ale takiej rzeczy, jak kolonja kolonją nigdy nie było! Mamut siedział na swoim posłaniu i jadł pierożki!!!

Gwizdawka zastała go widać w trakcie tego miłego zajęcia, a szybkie zjawienie się oboźnego nie pozwoliło mu schować swych skarbów. Oboźny doznał wrażenia, jak gdyby piorun weń trzasnął. Pierożki w obozie... W obozie, gdzie jest miejsce tylko na pieprz skondensowany, przypaloną kaszę na mleku, piasek z dodatkiem grochu i niedogotowane kartofle o twardości djamentów! Tego nie mogły wytrzymać nawet zakamieniałe nerwy oboźnego. Spadł jako jastrząb na swą ofiarę, pierożki zostały skonfiskowane i, ku ogólnej uciesze, rozdzielone między chłopców, garnki zaś tego wieczora nie potrzebowały się troszczyć o to, kto je umyje...

* * *

„Pluton w lewo w miejscu, w tyraljerę!"

Pędziliśmy zziajani po łące, rozsypując się w długą, przerywaną linję tyraljerską. Oboźny, który kierował ćwiczeniami, niezmordowanie wymyślał coraz nowe przegrupowania, podawał najrozmaitsze kierunki, słowem starał się, by chłopcom wbić na całe życie w głowę pamięć tyraljerek na kolonji. Już niewidzialne bagnety nałożyliśmy na nieistniejące karabiny, „kierunek stado krów" — atak, hurra! „Stój! zbiórka w ordynku!"

Ćwiczenia podobały się widać ogromnie bardzo sympatycznemu bykowi pasącemu się opodal, bo rycząc zaczął się zbliżać do naszego oddziału. Małe „biszkopty" zaczęły się niepokoić i okazywały niekłamaną chęć zrobienia tyraljerki bez rozkazu, to też zrobiliśmy czwórki i zaczęliśmy zwolna ustępować z łąki. Nie dlatego, że byk wciąż się zbliżał, o nie! Tak poprostu wypadło „ze względów taktycznych", a może dla stwierdzenia czynem zasady że: „mądry bykowi ustępuje". Pomimo to malcy tłoczą się jeden na drugiego, łamią czwórki, pchają się rozpaczliwie na czoło, idące, mimo drżenia łydek, strasznie miarowym krokiem. Oboźny gorączkowo maca się po tylnej kieszeni, gdzie jest przechowywany rewolwer, rzucając jednocześnie podejrzliwe spojrzenia na



Obóz w Horodzie. Podniesienie sztandaru r. 1923.

byka, który z zachęcającym rykiem wciąż kroczy za nami. Wreszcie byk macha z pogardą ogonem i wraca na dawne stanowisko. W drużynie wybucha teraz oburzenie... Jak to bydlę śmiało wyzywać do walki nas, drugą warszawską! Skandal!

Gdyby byk słuchał teraz wynurzeń wszystkich malców przeraziłby się strasznie i pojął bezmierny ogrom niebezpieczeństwa na jakie się narażał. Gdyby miał nawet siedemnaście żywotów prawdopodobnie postradał by je wszystkie w nierównej, a bohaterskiej walce z bracią harcerską... Dotąd jeszcze powinien dziękować losom i opatrzności, która zesłała mu nagle natchnienie i sprawiła, że odszedł w po-



Na Zawracie r. 1922.

koju. Ale czy takie głupie, podłe zwierzę potrafi ocenić jakie wyświadczyliśmy mu dobrodziejstwo nie dopuszczając do napadu z jego strony?...

* * *

Druh oboźny miał wrócić z Warszawy, dokąd był wysłany z poleceniami. Na spotkanie wyszła warta honorowa złożona z jednego zastępu, który miał w tryumfie przyprowadzić go do obozu. Zjedliśmy właśnie obiad, gdy zjawił się cały oddział obładowany paczkami. Mamut uśmiechnięty od ucha do ucha dźwigał ogromny tobół, oczy mu błyszczały w przewidywaniu rozkoszy jakich zażywać będzie spożywając jego zawartość. Papiery jego poszły ogromnie w górę, i od chwili kiedy obóz dowiedział się o przesyłce dla Mamuta, wszyscy starali się na wyścigi dogadzać właścicielowi ponętnej paczki i pozyskiwać we wszelki możliwy sposób jego mamucie względy. Szczęśliwiec jednakże trzymał się z góry i stał się nagle tak nieprzystępnym, jak conajmniej szach perski albo oboźny. To też na prośby Kajtusia tyczące się zawartości Mamut odpowiedział krótko: „Idź do luftu!" popełniając tem samem kradzież literacką, bowiem słowa te były ulubionem wyrażeniem „Gnoma". W obozie zapanowało oburzenie tłumione zawodną nadzieją, że serce Mamutowe da się zmiękczyć i udzieli części swych skarbów nieszczęsnym współtowarzyszom.

Noc. W obozie wszyscy zasypiają. Do posłania Mamuta zbliża się jakaś postać—„Śpisz?" „Jeszcze nie. A ty co tu robisz?" „Jestem dziś komendantem wart. Wiesz co? możebyśmy rozpakowali twoją paczkę?" „E... jeszcze Tadzio zobaczy"... „Co ma zobaczyć—poszedł na spacer z oboźnym" (Tadziem nazywamy komendanta drużyny). Mamut jest prawie pewny, że uda się bezkarnie rozpakować przesyłkę, to też łatwo daje się namówić. „Mamut! czego nie śpisz?" odzywa się z ciemności głos: „Pssst—odpowiada postać siedząca koło posłania i przyświecająca Mamutowi latarką elektryczną. W krąg jej światła wchodzi zastępowy Mamuta, który, zobaczywszy co się święci, sam siada koło namiotu i przygląda się rozwijaniu paczki przez Mamuta. Paczka owiązana jest sznurkiem. Posiadacz nie może rozwiązać supła, wreszcie rozcina nożem węzły i odwija papiery...

„Eeee!... — wyrywa się okrzyk zawodu — to tylko kołdry!" Troskliwa mamusia przysłała Mamutowi pakę pościeli.

Wobec tego zastępowy uczuł nagły przypływ srogości: „Mamut! marsz spać!"

„Psia twarz!" klnie Mamut, który nie wie jak udźwignie cały tobół z powrotem. Latarka gaśnie... Postacie rozchodzą się...

Drukowane w „Harcerzu" 17 września 1919 r.



Czerwony Klasztor

OPISAŁ I ZILUSTR. STEFAN ŁOŚ.

Z WYCIECZEK KRAJOZNAWCZYCH „DWÓJKI" (1926 R.).

Wyszliśmy z obozu wczesnym rankiem, tak wczesnym, że jeszcze słońce nie zdołało rozpędzić mgieł, nisko włóczących się nad Dunajcem.

Pod Sromowcami, vis a vis słynnego „cisowego dworku" przeprawa będzie przez Dunajec i... już jesteśmy zagranicą.

Pierwszy etap wycieczki — Czerwony Klasztor.

Klasztor, a właściwie jego mury stoją nad samym Dunajcem, prawie u stóp Trzech Koron, położenie prześliczne. Ktoś poszedł po klucze, a wiara zgromadziła się wokoło krajoznawcy obozowego.

— Pamiętacie, co Wam opowiadałem na wykładach w obozie, o Magistrze Kokoszu, który w jakiejś zwadzie zabił Fryderyka, syna hrabiego spiskiego — Arnolda i zniszczył jego włości?

— Aha, a sąd spiski skazał go na 200 grzywien kary i wybudowanie sześciu klasztorów — dodał Kazik.

— Tak, w 1307 roku, i jeszcze kazał Magistrowi ufundować 4000 Mszy świętych za spokój duszy zamordowanego — dodał wykładowca i ciągnął dalej:

— Ojciec Kokosza, hrabia spiski Rikolf, to ten sam, którego posłano na czele węgrów z pomocą naszemu królowi Łokietkowi.

— A dlaczego syn jego nazywał się Kokosz? — spytał Borcik.

— Widzicie, magister Kakass, Kokos seu Gallus, to był zapewne przydomek nadany kłótliwemu wojowniczemu jak kogut rycerzowi — duchownemu, tytuł bowiem magistra dawano tylko duchownym, a znaczył właśnie tyle co rycerz, pan.

— To ten Kokosz zatem jest twórcą klasztoru?

— Tak, wybudował go w 1319 roku, pisząc na tablicy: Nobilis vir, Magister Kokosz natchniony łaską Bożą, na odpuszczenie swoich grzechów, za pozwoleniem króla węgierskiego Karola, nadaje wioskę pewną, Lechnicz zwaną pod budowę klasztoru, braciom Kartuzom.

Pamiętacie, parę dni temu byliśmy z wizytą w obozie ósemki warszawskiej w Niedzicy, otóż wieś tą, zwaną wówczas Nedecz, magister Kokosz ofiarował zakonnikom z klasztoru w roku 1326.

Tak więc aż do roku 1563 klasztor był w posiadaniu zakonu Kartuzów, ale później przeszedł w posiadanie proboszcza spiskiego, który na Spiżu rządził jak biskup, mając w swym probostwie koło 200 podległych mu księży. Księża ci łączyli się w kongregacje, na której czele stała kapituła spiska i proboszcz z Lewoczy, którego mianował z początku król węgierski, a potem hrabiowie spiscy.

Pierwszym takim proboszczem był Adolf z Meranu (1209 r.).

Przyniesiono klucze od kościoła, więc wiara, wypoczęta po marszu, poczęła zwiedzać stare, opuszczone mury klasztorne.

— Po okresie należenia do probostwa spiskiego — ciągnął drużynowy — zajmują go od 1705 do 1782 r. OO. Kameduli, a przedtem jeszcze w 1630 roku odnawia go słynny Rakoczy.

— No, chłopcy, który z Was mocny w łacinie, tłumaczcie treść napisu, który na klasztorze wyryć kazał Rakoczy:

Christe resurgentem Lechnitz tuearis eremum
Sub Crucis ut signo felix sibi saecula vivat.

to znaczy: „Chryste, broń dźwigającą się z ruin, Lechnicką pustelnię, aby pod znakiem krzyża szczęśliwa wieki przetrwała".

Czwarty okres klasztornych dziejów, to czas od 1782 roku do dziś. W roku 1820 nadany biskupowi grecko-unickiemu z Treszowa, rozpada się coraz bardziej w gruzy.

Pamiętacie śliczne odwieczne organy, które widzieliście w Starej Wsi, pochodzą one z tego klasztoru, jak również i baldachim rzeźbiony w drzewie, tamże przechowany.

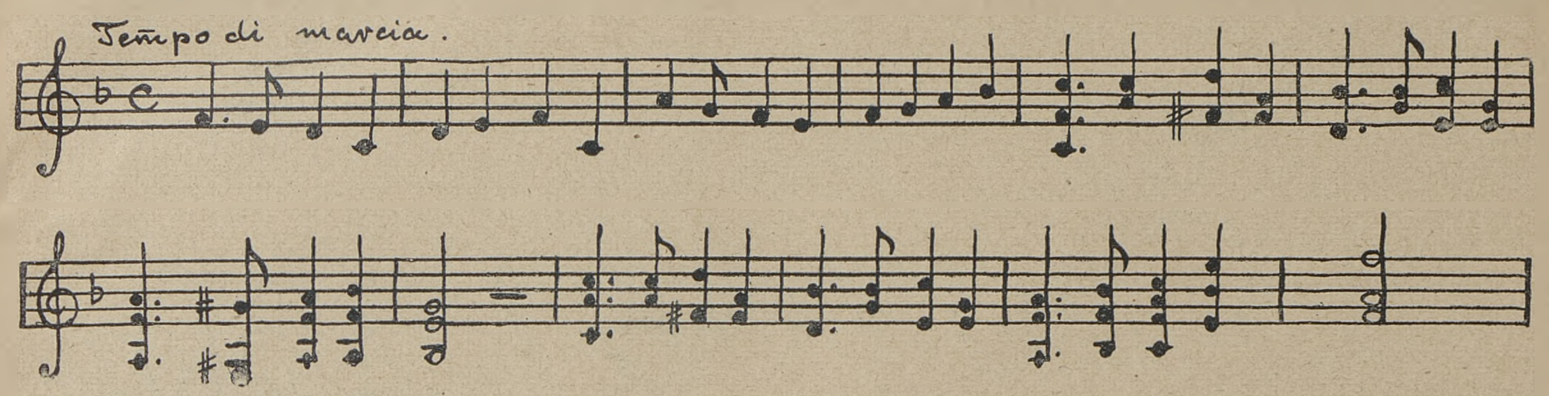
Obejrzeliśmy jeszcze celę Rakoczego, i refektarz klasztorny z resztką pięknych ongiś fresków, wszystko w okropnem zaniedbaniu i ruinie i zaczęliśmy zbierać się do dalszej drogi.

Przyp. aut. Część danych czerpałem z książki nieznanego autora o Czerwonym Klasztorze, część z aktów probostwa w Sepesz — Ofalu.



MARSZ 2 W. D. H.

MEL. ALEKSANDRA WIELHORSKIEGO. SŁOWA STEFANA ŁOSIA.



Jest gromada nas niemała,
wie to wszak Warszawa cała,
swych chłopaków,
Reytaniaków,
bardzo kocha też.

Gdy idziemy przez ulice,
płoną nam radością lice,
biją głosy,
pod niebiosy,
ponad szczyty wież!

Słońca, pierwsze złote zorze,
już harcerzy widzą w borze,
na polanie,
obóz stanie,
trza go prędko wznieść.

Kucharz wdział już fartuch biały,
pracy swej się oddał cały,
ogień trzeszczy,
wiara wrzeszczy:
„dajcież prędzej jeść"!

Zupka nasza — nektar boski,
wznieca humor — koi troski,
choć i słona,
bywa ona,
lecz dobra i tak.



Chociaż biszkopt wzrok ponury,
utkwił w nadchodzące chmury,
będą deszcze,
lecz my jeszcze,
zabawim się wszak.

Choć powrotu chwila bliska,
siedzi wiara u ogniska,
szumią drzewa,
rzesza śpiewa,
sam się splata rym.

Ciemno wszędy, głucho wszędy,
dobra pora do gawędy,
płomień błyska,
iskry ciska.
Siny bucha dym...

ZAKŁAD

„Wiecie chłopcy, koło nas w majątku jest stary gajowy, co tak zna lasy dokoła, że dwie mile może iść na przełaj bez drogi i zawsze trafi, gdzie zechce" opowiadał Bronek.

Zastęp wyrwał się właśnie na świąteczną „trzydniówkę", rozbił obóz w zagajniku i odpoczywał, dogryzając nieprzezornie resztek domowych zapasów.

„O wa, wielka sztuka, w biały dzień!" Edkowi nigdy nie można było zaimponować.

— Patrzcie go, to mi ćwik, sam niby potrafisz?—odciął Bronek trochę urażony, bo wrażenie opowiadania poszło na marne.

— Żebyś wiedział, że potrafię. Jest czemu się dziwić. W Indjach, czy w Afryce, to co innego, ale tu, głupstwo.

Pozostali chłopcy otoczyli kołem Bronka z Edkiem. Sympatje wszystkich były po stronie pierwszego. Edek ich złościł swojem samochwalstwem.

— Karol, Karol, Edek mówi, że potrafi zrobić 2 mile w lesie na przełaj i nie zbłądzi—wołał któryś do zastępowego.

Karol siedział w cieniu sosenki, w pozycji indyjskiego bożka i kończył właśnie trzecie jajko na twardo, zapobiegliwie włożone w domu do plecaka.

Pozbierał skrzętnie skorupy, wstał i z uśmiechem pełnym godności (był zastępowym od miesiąca, komendantem obozu od godziny), zbliżył się do rozmawiających.

— Głowę daje, że w promieniu kilometra zbładziłbyś w lesie—twierdził Bronek.—Sam byś się zgubił, boś gapa.

— No, no, bardzo proszę, taki z ciebie „leśny człowiek".

— Leśny, czy nie leśny, ale przejść parę kilometrów lasem, to zabawka—upierał się Edek dla zasady.

— To niby trafiłbyś ze stacji na przełaj przez las do obozu. (Było tego coś z pięć kilometrów).

— Trafiłbym!

— Naprzełaj?

— Jeszcze jak!

— Założysz się?

— Zakładam.

— Ale o co?

— Będę stał na warcie podwójnie, za ciebie i za siebie, ty tak samo, jeśli wygram.

— Dobrze, ale czy Karol pozwoli?

— Pozwalam, decydował młody wódz. Bawił się sporem chłopców narówni z innymi.

Ustalono warunki. Edek pójdzie na stację po obiedzie, po rozkład jazdy i będzie musiał wrócić przed zachodem słońca, idąc naprzełaj. Miał wyjść z lasu koło leśniczówki, odległej o kilometr od obozu, tam, gdzie się kończył zagajnik, a zaczynała dębina.

II.

Pod zielonem sklepieniem wysokich drzew, Edek maszerował raźno na południo-wschód. Dzień był pochmurny. Lekki wietrzyk chwiał w górze koronami sosen. W dole panowała cisza. Chłopiec przeciął kilka dróg, parę razy musiał obchodzić nieprzebyty zagajnik, raz zboczył na południe, bo leśny strumyk i grzązka łączka tamowały przejście.

Gdzie właściwie było południe, Edek nie wiedział dokładnie. Kilkakrotnie widział na mapie rysunek terenu. Zapamiętał, że w tej stronie świata las ciągnie się na przestrzeni wielu kilometrów długim pasem. Mapy, ani kompasa lojalnie nie wziął ze sobą, wychodząc ze stacji, zorjentował się o tyle, o ile na to pozwalało ukryte za chmurami słońce

Z. GRABOWSKI.

KURS ŻEGLARSKI

BUDOWA YACHTU *(ciąg dalszy).*

W praktyce każdy dobry żaglowiec powinien mieć lekką skłonność „wybiegania na wiatr", t. j. zwracania się dziobem w kierunku, skąd wiatr wieje, gdy nie jest kierowany sterem, a pozostawiony samemu sobie.

Gdy konstruktor dokonał obliczeń matematycznych, tworzy na zasadzie otrzymanych rezultatów plany konstrukcyjne, czyli ogólne zarysy kadłuba i ożaglenia.

Plan konstrukcyjny rysuje się w trzech rzutach: podłużnym, poprzecznym i poziomym. Plan podłużny daje nam boczny zarys kadłuba wraz z kilem, sterem i skokiem, czyli różnicą wysokości pokładu nad poziomem wody na dziobie i na rufie i wskazuje, między innemi szczegółami rozmieszczenie żeber wzdłuż kilu.

Poprzeczny plan uwidacznia linję wygięcia wszystkich żeber, przytem, ponieważ cała konstrukcja dzieli się na dwie symetryczne połowy, linje żeber zaznaczone są tylko w połówkach w ten sposób, że mieszczące się od midelszpontu ku rufie rysuje się z lewej strony, mieszczące się zaś od midelszpontu ku dziobowi z prawej. Plan poziomy daje formy podwodnej części kadłuba w ten sposób, że dzieląc na różnych głębokościach kadłub yachtu na warstwy poziome, otrzymujemy wyobrażone linje zetknięcia się krawędzi każdej z warstw z wodą.

Najwyższa z linji na poziomie wody jest najważniejszą i zwie się konstrukcyjną linją wodną technicznie, oznaczaną C.W.L.). Jeżeli yacht zbudowany jest dokładnie podług planów, linja wodna, czyli linja zanurzenia kadłuba po spuszczeniu go na wodę i otakelowaniu, będzie ściśle odpowiadać C.W.L.

Plan ożaglenia rysuje się oddzielnie. Po wykreśleniu planu konstrukcyjnego, którego wszystkie rzuty muszą w szczegółach być zgodne, przystępuje konstruktor do wykonania planu budowlanego ze ścisłemi wymiarami każdej z poszczególnych części, ze wskazaniem materjałów, z których mają być wykonane, oraz sposobem łączenia i rozmieszczania. Budowa odbywa się podług tego planu.

Przedewszystkiem na „staplu", t. j. poziomem rusztowania ustawia się belkę kilową, na której zprzodu umocowuje się sztabę, czyli belkę, tworzącą dziób statku, z tyłu zaś kontrsztabę, służącą za podstawę pawęży.

Na belce kilowej, w miejscach oznaczonych na planie umacnia się prowizorycznie, t. w. formy, wycięte z desek, tworzące swą zewnętrzną krawędzią linje żeber (albo obydwóch semetrycznych połówek) naturalnej wielkości, odpowiadające linjom żeber na rysunku.

Po odpowiedniem usztywnieniu form w kierunku pionowym i poziomym, przystępuje się do wbudowania wręgów i żeber, które wyrastają z belki kilowej, tworząc kościec całej budowy. Gdy żebra są umocowane, pokrywa się je oszyciem, czyli klepkami, przybierającemi odpowiednie do linji żeber wygięcia. Klepki mocuje się na żebrach za pomocą nitów miedzianych. Powstałe w ten sposób burty, czyli boczne ścianki statku tworzą formę powierzchni ściśle taką samą, jaką wykazał poprzeczny plan rysunku konstrukcyjnego. Formy rozbiera się i wyjmuje się, a po całym szeregu dodatkowych wewnętrznych mocowań za pomocą beleczek burtowych, kolanek drewnianych, lub metalowych, zakłada się beleczki pokładowe, łączące poprzecznie górne końce żeber. Na belki pokładowe kładzie się pokład z desek. Następuje teraz wewnętrzne wykończenie kadłuba, wbudowanie kajuty, urządzenie luk wejściowych i t. d.

Aby nie rozpraszać tego krótkiego opisu powstawania yachtu nie wspomniałem jeszcze o całym szeregu innych robót — o przymocowaniu balastu za pomocą śrub żelaznych, idących przez pletwę kilową do belki kilowej, o uszczelnianiu klepek i pokładu, wreszcie o malowaniu lub lakierowaniu wewnętrznem i zewnętrznem.

Dąb — dla części podlegających znacznym wysiłkom, jak kil, sztaby, wręgi, często klepki.

Z materjałów, używanych przy budowie yachtów wyliczę tylko najgłówniejsze i najczęściej używane.

---

i starał się utrzymać obrany kierunek. Nie było w tem nic trudnego. Iść przed siebie i kwita. Humor mu dopisywał. Wysokie kolumny drzew ciągnęły się w nieskończoność. Koło sągu zrąbanego drzewa wypłoszył zająca. Biedny szarak, położywszy uszy, rwał przed siebie jak opętany, a biała kitka migała wśród krzaków.

Chłopak roześmiał się na cały głos, aż echo leśne odpowiedziało. Spojrzał na zegarek, dochodziła siódma. Na dobre, powinien być już blisko leśniczówki. Przyśpieszył kroku. W górze wiatr ustał. Pod nogami chrzęściły zeszłoroczne gałązki. Zresztą nic nie mąciło leśnej ciszy. Po pewnym czasie Edek spojrzał na zegarek powtórnie. Szedł już przeszło godzinę. Coś za długo. Zastęp po drodze ze stacji do obozu maszerował trzy kwadranse. Tak. Musiał zmylić kierunek.

Spojrzał przed siebie. Końca lasu nie było widać. Edek poczuł, że go ogarnia niepokój. A jeśli zbłądził? Nie, do tego nie mógł dopuścić. Przecie chłopcy go będą wyśmiewać aż do końca życia. Trzeba iść prędzej. Ale w którą stronę? Jak każdy zbłąkany w lesie, stracił odrazu zaufanie do swych spostrzeżeń. Starał się rozumować na chłodno; ale myśli się mąciły. Jeszcze dziesięć minut i w lesie zrobi się ciemno. Zebrał całą siłę woli i ruszył przed siebie w dawnym kierunku.

Zagajnik! Nareszcie. Coprawda niema leśniczówki w pobliżu, musiała gdzieś pozostać z boku, ale las przebrnął, to grunt. Ostatecznie trudno się mierzyć z takim gajowym, co całe życie łazi po lesie, Edek był spotniały i zziajany. Szedł coraz prędzej.

Tymczasem zmrok zbliżał się nieubłaganie. Wypełzał z głębokich wykrotów, wysuwał się z pod krzaków, spływał z gałęzi. Chłodna wieczorna mgiełka napełniała las, gęstniała, unosiła się coraz wyżej, a z nią gęstniała, rosła ciemność wiosennej nocy.

Ostatnim wysiłkiem dobrnął do zarośli. Stanął jak wryty. Okolica w której obozował zastęp tak nie wyglądała. Za zagajnikiem był znowu las. Co to? O parę kroków przed sobą zobaczył złamany przez burzę pień sosny. Ten sam, który minął przed godziną. Kręcił się w kółko. Gdzie iść, gdzie jest leśniczówka? Gdzie stacja? Poczuł w oczach wilgoć, która zgoła nie przystoi mężnemu wywiadowcy.

Było już prawie ciemno. Edek siadł na kłodzie. Bał się wybrać kierunek drogi, bo mógł tak iść lasami w nieskończoność.

Trzeba było coś robić. Wyjście pozostawało dwojakie. Albo czekać do rana, albo się puścić na pierwszą z brzegu ścieżkę. Zawsze przecie gdzieś zaprowadzi.

Wstał, wziął dla dodania odwagi sękaty kij i ruszył przed siebie. Brr, droga była nieprzyjemna. Las, cichy przed zachodem, napełniały teraz jakieś dźwięki i szmery. Odgłos kroków brzmiał niepokojąco. Najniemożliwsze historje, śmieszne w biały dzień, przychodziły na myśl chłopcu.

Zagajnik się skończył, znów zaczynał się las. Edek posuwał się pomacku. Nabił sobie o pień sporego guza, rozkrwawił kolano. Ze wzruszenia nie czuł bólu. Byle dojść do drogi. Ciemność lasu zrzedła o jeden stopień. Przed nim była jaśniejsza pręga.

Kierując się instynktem puścił się w prawo. Na los szczęścia. Nie miał wyboru.

Po pewnym czasie nogi zaczęły chłopcu odmawiać posłuszeństwa. Ile godzin błądził, nie miał pojęcia. Oddychał ciężko. Był zlany potem. Musiał odpocząć.

Usiadł na trawie, oparł się plecami o pień i przymknął oczy. Otworzył je prędko, bo mu się wydało, że za drogą na przeciwko przyczaił się upiór i gotuje się do skoku. „Głupstwo, nie rób z siebie baby". Starał się uspokoić rozigraną wyobraźnię.

Mahoń — różnych gatunków na wewnętrzne urządzenie kajuty, jej nadbudówkę, a również na klepki, szczególnie przy budowie yachtów regatow ch.

Sosna i świerk — na klepki, pokłady, maszty i drewna.

Ołów — na balast kilowy, przy tańszych budowach zamieniany czasem żelazem.

Miedź — na nity, niektóre części okuć.

Bronz — niektóre okucia, kluzy, części otakelowania.

Żelazo ocynkowane — jak bronz.

Aluminjum — dla lekkości na niektóre okucia, nie podlegające zbyt dużym wysiłkom, jak obsady bloków i t. p.

Kadłub jest wykończony i spuszczony na wodę. Następuje teraz otakelowanie statku. W gniazdo masztowe wstawia się maszt, opierając go na belce kilowej, zaciąga się stagi i wanty. Przez umocowane poprzednio bloki na maszcie przeciąga się fały, wreszcie przymocowuje się drzewca — bom i gafel.

Żagle skrojone i uszyte przez żaglomistrza podług planu ożaglenia przysznurowuje się do drewien, zakłada się szkoty i yacht jest gotów do próbnej wycieczki.

Uprzedzam jednak, że budowa najprostszej nawet „sharpie" nie jest rzeczą łatwą i ci, którzyby chcieli zbudować sobie taki stateczek, niech nie tracą czasu i pieniędzy i nie mozolą się samodzielnie nad budową nawet wtedy, gdy zdobywszy z jakiejkolwiek książki, lub czasopisma rysunek, myślą, że z jego pomocą potrafią się dobrze wywiązać z zadania. Takie poczynania najczęściej dają opłakane rezultaty w postaci różnych „żelazek do prasowania" (z powodu uderzającego podobieństwa ich kadłubów do tego pożytecznego przedmiotu gospodarstwa domowego), nie słuchają steru i w rezultacie zamiast stanowić zachętę do uprawiania pięknego i szlachetnego sportu żeglarskiego, zniechęcają do niego. Najlepiej jest powierzyć budowę stoczni, jeżeli zaś z jakichkolwiek powodów jest to niemożliwe, zwrócić się do fachowca o poradę, a jeszcze lepiej uprosić go o dozór nad wykonywaną własnemi siłami budową.

Yacht Klub Polski każdemu poczynającemu żeglarzowi przyjdzie zawsze z chętną pomocą.



W Landwarowie u hr. Tyszkiewicza. r. 1925.

Wreszcie dodam kilka słów o bolączce yachtingu polskiego — terminologji technicznej. Do niedawna żeglarze polscy albo niewolniczo używali nazw obcych, albo gwałtownie dążyli do stwarzania rodzimych, które, niestety, często bywały dziwolągami.

Jeden i drugi kierunek wydaje mi się fałszywym. Młody yachting polski może i musi używać terminologji niemiecko - holendersko - szwedzkiej, przyjętej na Bałtyku. Jednocześnie jednak winien nałamywać tę terminologję do ducha mowy polskiej, tam, gdzie da się to przeprowadzić. Wszak mamy już cały szereg pojęć żeglarskich, które zdobyły sobie prawo obywatelstwa w naszej literaturze.

Hołdując tej zasadzie, podaję rysunek yachtu-kutra z nazwami główniejszych części, przyjętemi przez Yacht Klub Polski.

(C. d. n.).

III.

Odpoczywał tak dłuższą chwilę. Stary las szumiał i huczał groźnie. Jego głębia zdawała się zawierać jakąś zasadzkę. Za nic w świecie w tej chwili Edek nie opuściłby kryjówki.

Co to? Skrzepł w bezruchu. A jednak ktoś szedł po drodze. Szedł najwyraźniej. Chłopak skulił się i przestał oddychać. Zaraz stanie się coś strasznego. Słyszał ciężkie, a jednak przyciszone kroki. Jest coraz bliżej, tuż. Przystanął. Myśli chłopca uciekły. Zobaczy, nie zobaczy? Czarny cień był prawie niewidoczny.

Przeszedł i zatrzymał się znowu o parę kroków dalej. W ciemności błysnął ogieniek, potem zgasł, potem błysnął znowu. Ach, to człowiek! Najzwyczajniej zapalał zapałkę. Na jedno mgnienie ujrzał czerwoną twarz i daszek czapki. Następnie w ciemności świecił już tylko ognik papierosa.

Teraz wystarczyło powstać i zapytać się o drogę. Błądzenie było skończone. Jeszcze jeden, ciekawe? Ze strony przeciwległej Edek usłyszał głośne stąpanie. Ktoś musiał się dobrze śpieszyć. Ogieniek zduszony zniknął. Odezwało się ciche gwizdnięcie. Odpowiedziało drugie.

Edek wbił oczy w ciemność. Był niemym świadkiem nocnego spotkania. Zapomniał o strachu, o zastępie, o zmęczeniu. Czego ci ludzie mogą chcieć?

„To ty?"

„Ja". Słychać było, wszystko doskonale, choć mówili półgłosem. Stali bliżej, niż przypuszczał. „Przyniosłeś" „mam". „Idziem, co?". „Czekaj, jeszcze czas, niech się dzieciaki pośpią". Chwila ciszy. „Masz się co napić?". „Jest". „Daj". Zadźwięczało szkło. „Na", pijący splunął. „Oddaj." „Wypiłwszystko, szelma". Najwidoczniej raczyli się wódką. Edkowi znowu zrobiło się nieswojo. Odeszła go ochota pytania o drogę.

„Te, już czas". Zagadnięty nie odpowiedział. „Gadałeś z Józefową?" „Gadałem, mówiła, że schowa". „Niechby nie schowała. Tak bym babie łeb ukręcił, aż miło".

Znów chwila milczenia.

„Gruby!" „Co?" „Rozwali chałupę; nie rozwali?" „Rozwali, jeszcze jak". „Hi! Hi, będą koziołki w powietrzu robić aż miło", zaniósł się pierwszy piskliwym śmiechem. Od tego śmiechu Edkowi zrobiło się zimno. Co oni chcą zrobić?

„Już czas!" „Czas". Kroki zaczęły się oddalać w kierunku, skąd chłopiec przyszedł.

Edek siedział przez chwilę bez ruchu, jak skamieniały. Potem zerwał się na nogi i rzucił za nimi.

IV.

Szli dość prędko, skrajem drogi, nie kryjąc się zbytnio. Kroki słychać było wyraźnie. Od czasu, do czasu, na zakrętach widział nawet ich sylwetki. Posuwanie się za nimi nie było łatwe. Jak nic można wpaść na idących po ciemku, zgubić się w labiryncie dróg i ścieżek, albo nastąpić na suchą gałąź i narobić hałasu.

Natężając wzrok i słuch do ostatniej możliwości Edek skradał się na kształt ducha. Kij rzucił na trawie, bo krępował mu ruchy. Parokrotnie tracił ślad idących, udawało mu się jednak zawsze ich dogonić, raz zapędził się inną ścieżką, ale po paru krokach zawrócił i natrafił znów na swą zwierzynę. Niepewność i trwoga gdzieś się zapodziały, panował nad sobą świetnie. Właściwie nie myślał, całą uwagę skupił na zadaniu.

W pewnej chwili kroki umilkły. Edek stanął jak wryty. Zatrzymali się. Miał nadzieję, że może jeszcze coś posłyszy. Dotychczas idący rozmawiali mało, udawało się też jedynie łapać strzępy zdań.

Zatrzeszczały gałęzie. Widać siedli przy drodze. Edek począł sunąć na czworakach przed siebie. Teraz słyszał już

Wycieczka wędrowna
27 lipca 1925 r.



Bocianie gniazdo
w starych Trokach.

POBUDKA

Bracia, do bitwy nadszedł czas,
Potężnym gwarem tętni las
Do szturmu bieży wróg.
Przez ciche pola w ciemny bór
Mknie tyraliery czujny sznur
Tajniami mrocznych dróg.

Przerwijcie sen, rynsztunek włóż!
Ukołysani wonią zbóż,
Potężnym szumem drzew —
Odważnie naprzód! W luźny szyk
Echo bojowy niesie krzyk,
Gorąca kipi krew.

* * *



Graj trąbko, graj
Na jasną błoń
Na krwawy, leśny wrzos
Zwycięstwo dzwoń,
Od pereł rannych ros.
Na cichy gaj,

Bracia, do bitwy nadszedł czas,
Wróg wkradł się w obóz, jest wśród nas,
Zdjął łańcuch śpiących wart!
Więc dalej walcz, a twoja broń —
Wzrok nieulękły, jasna skroń,
Żelazny w piersi hart.

Na świat rycerski leci zew;
Dziś twierdzą twoją każdy krzew
Piędź ziemi, polny głaz.
I pierzchnie wróg, chociażbyś legł,
Boś prawa aż do kresu strzegł
I krzyż twój nie miał skaz.

* * *

M. B. T.

---

głosy. „Dawaj maszynę". „Masz". W ciszy rozległ się suchy trzask ładowanej broni.

„Uważaj. Będziesz stał z tyłu, ja rzucam i wieję. Ty za mną. Jakby co, wal w łeb i szlus". „Dobra".

Wstali. Szli znowu.

„A jak Kowalski przyjedzie?" „Masz spluwę?" „Mam". „No?"

„Co oni chcą zrobić z Kowalskim. Przecie to właśnie gajowy, co mieszka koło zagajnika". Edek był zdecydowany, przeszkodzi rzezimieszkom w zbrodni.

Kroki idących stawały się coraz cichsze, coraz wolniejsze. Podchodzić było coraz trudniej. Zbliżali się widać do celu. Wśród pni drzew począł się przesączać ledwie uchwytny brzask. Dochodzili do skraju.

„Psst, skręcamy".

Zeszli z drogi. Teraz Edek znał okolicę doskonale. Iść po ciemku za tropionymi nie było sposobu. Zdecydował się szybko. Nim podpełzną lasem pod dom, on sam będzie prędzej w leśniczówce biegnąc po drodze. Wyczekał chwilę. Zerwał się. Pędził w ciemności cicho jak cień.

V.

„Otwierajcie, prędzej, to swój!" Szarpał drzwi z całej siły. Pies nie zaszczekał, nikt się nie odezwał.

O Boże, wszyscy śpią, a tu niema chwili czasu do stracenia. Ostatni raz targnął za klamkę. Słuchał, milczenie. Tamci muszą już być z drugiej strony domu. Nieszczęście!

Porzucił drzwi, okrążył biegiem zagrodę. Przypadł za krzakiem. W samą porę. Wychodzili z lasu. Edek przygotował się do skoku. Nie liczył sił. Co zaczął, skończy.

Na białem tle domu najdokładniej zarysował się czarny cień. A gdzie drugi? Stał pod lasem za plecami Edka. Mniejsza o to. Teraz zobaczy o co chodzi.

Pierwszy cień skradał się ciągle w kierunku jedynego okna z tej strony. Aha, będzie się włamywać. Był znowu w odległości dwóch kroków od chłopca. Przystanął.

Edek łapał nozdrzami zapach potu i wódki. Każdy ruch widział teraz dokładnie. Człowiek wyjął jakiś przedmiot z kieszeni. Zrobił nieokreślony ruch. Zamachnął się.

„Chce zbić szybę", przeleciało chłopcu przez myśl. „Niedoczekanie twoje". Jednym rzutem znalazł się za plecami napastnika. Lewą ręką otaczał mu szyję, prawą uchwycił prawy napięstek.

„Puszczaj". Silny chłop szarpnął chłopcem, aż ten się zatoczył, ale nie puszczał. „Nie puszczę". „Puszczaj", ryknął głosem, w którym biła wściekłość i trwoga. Przedmiot wypuszczony z ręki bandyty upadł w odległości paru kroków. Edek poczuł, że czyjeś ręce odrzuciły go w tył z wielką siłą. Nagle powietrzem targnął gwałtowny huk. Z szklanym dźwiękiem posypały się szybki z okna. Bandyta zatoczył się i runął na wznak przykrywając swem ciałem chłopca. Edek stracił świadomość...

VI.

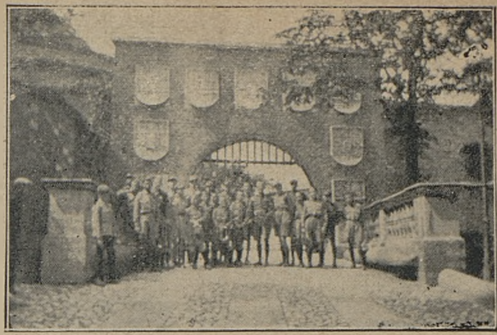
„Panie, ej, panie!" Edek słyszał słowa, które dochodziły doń jak gdyby z wielkiej odległości. Nie mógł pojąć ich znaczenia. Czuł się tylko bardzo słaby. Paliło go pragnienie.

„Panie, ej panie, czy pan żyje". Biedaczysko nie zdawał sobie sprawy z całej wagi tego pytanie. Ktoś pryskał mu na twarz wodą i trząsł za ramiona. Z wysiłkiem otworzył oczy. „Bierzem go Magda do chałupy, mówiłem że żyje. To te łobuzy tak go przytłukły. Ostatnie słowa Edek słyszał już wyraźnie. Chciał przemówić. Nie mógł. Poruszył tylko usta-



„Dwójka“ w Pieninach 1926 r.

NA WOZIE I POD WOZEM



W Krakowie na Wawelu 1926 r.

„Garderoba“ miała wszerz trzy, wzdłuż cztery, no, może pięć kroków, ale przy zamkniętych oczach zdawać się mogło, że jest bardzo obszerna, bo wiatr hulał po niej, jak po polu. Na ziemi stały pełne kostjumów, peruk i szminek kufry, których wieka ciągle się z trzaskiem zamykały, nierzadko przycinając palce zbyt gorliwym szperaczom.

Ruch panował tu niezwykły: mnóstwo pędraków kręciło się między gratami, bawiła ich niezwykłość sytuacji, drabinka, po której można się było wspinać aż na szczyt wieży i tyle innych rzeczy.

Właśnie Kazik G. wyjmując rękę z rękawa fraka umiejscowił mi łokieć na głowie, a ja nie byłem w stanie nawet osłonić się od ciosu, gdyż jedną rękę miałem uwięzioną w rękawie pięknego zielonego fraka, drugą musiałem przytrzymywać ciągle opadające wieko kufra.

Harmider panował i po jednej stronie kurtyny, gdzie widzowie rozgrzewali się w nieopalonej wozowni strażackiej, i po drugiej, gdzie aktorzy rozgrzewali się czem kto potrafił.

Janek W. zabijał czas oczekiwania tremą, która zmieniła go do niepoznania, inni gorączkowemi zapytaniami, pozostawianemi zresztą bez odpowiedzi, gdyż w tym chaosie nikt nikogo nie słyszał i nie rozumiał. Reszta nakoniec kręciła się po wszystkich zakamarkach, powiększając i tak doprowadzony do szczytu gwałt „przedpremjerowy“.

— Jacek!—woła Tadzik D.—a zobacz-no, czy będzie dobrze?

Rzucam frak, kufer i pędzę na scenę, przymocowując po drodze żabot, nad którym się chyba z kwadrans pastwiłem.

— Co takiego?

— Widzisz, tych dekoracyj nie da się w żaden ludzki sposób usunąć z miejsca, więc kazałem świerki wstawić do wewnątrz, możecie chyba i tak zagrać...

Spojrzałem roztargnionym okiem na scenę.

Parę świerczków imitowało las. Poprzez rzadkie gałęzie widać było brudno-różowe ściany pokoju, papierowe firanki i kawałek wybitej, ale zato zakurzonej szyby w oknie.

—Ostatecznie—pocieszał mię jakiś optymista,—wystawa jak na Brwinów jest i tak nadzwyczajna, a zresztą dekoracja sprawia wrażenie rzeczywistości, bo podłoga jest tak spróchniała, że mógłby las na niej z powodzeniem wyrosnąć.

Machnąłem ręką. I tak byłem przygotowany na najgorsze. Rozejrzałem się w sytuacji. Oparty o framugę Staś Ch. tak zwany „Bulwa“ jęczącym głosem powtarzał:

„Ach, to pan!“ a od czasu do czasu ktoś mu odpowiadał: „Pan, pan, Klaro, Ty się gniewasz“!

(Charakterystycznem jest dla teatrów amatorskich, że grający umieją znakomicie cudze role, ale nigdy swoje).

Z Bulwą jest znowu osobna historja.

Rolę Klary miał grać Karol W., który z niewiadomych powodów został w Warszawie. Miłą tę wiadomość przywiózł mi wraz z drużyną Tadek w ostatniej chwili. Co robić!?

---

mi. „Daj mu wody, widzisz, chce pić“ mówił obok jakiś głos kobiecy.

Chłopiec poczuł, jak z każdym łykiem wody wstępuje weń życie.

Pił i pił...

Poruszył prawą nogą — cała, poruszył lewą — na miejscu. Ręce chodzą, jakby były z drewna, ale nie bolą. Uniósł się nieco. Co to? Podniósł rękę do głowy... wzdrygnął się: dłoń była powalana lepką cieczą — krew!

Na dworze robił się świt. Wschód nieboskłonu zaległy małe różowe chmurki. Bliższe i dalsze przedmioty wyłaniały się z cienia, nabierały wyrazistszych konturów.

— Jestem ranny...

— O, mówi! Ha, ha, ha, — śmiał się jakiś gruby głos — nic panu nie jest, to z tej szelmy tyle krwi wyszło!

Edek usiadł na ziemi i rozejrzał się; zobaczył ze zdziwieniem, że obok niego ktoś leży.

— Ach, to ten! — w jednej chwili ubiegłe zdarzenia stanęły mu w oczach. To odciągnięty na bok przez leśniczego trup zbója. Był straszny... twarz zniekształcona... z piersi pozostała jedna krwawa rana... zaciśnięte pięści trzymały kurczowo strzępy darni.

Pełen odrazy Edek zerwał się na nogi, poczuł jednak zaraz, że słabo się na nich trzyma. Zachwiał się... w oczach poczęły mu latać kolorowe plamki. Omal nie upadł, szczęściem gajowy podtrzymał go w porę i poprowadził do domu, gadając:

— Co, nogi nie słuchają? To panu dogodził. Ale nic, sam ma za swoje. Toż to siła, całą by chałupę rozwaliło... pozabijało by nas i dzieci. Wielki Boże!

Wchodzili w drzwi; przejęty widać do głębi rozpamiętywał dalej:

— Co dziwne, nijak nie mogę wymiarkować: taki mocny chłop, a handgranaty na pięć kroków nie rzucił? W ręku mu rozerwało, czy ki djabeł?!

Edek siedział już na stołku w izbie. Wybladła z przerażenia żona gajowego krzątała się cicho, stawiała przed nim chleb i gorące mleko. W kącie, w jednej koszulinie stał mały rozczochrany berbeć i wytrzeszczał na Edka wielkie błękitne, zdziwione oczy.

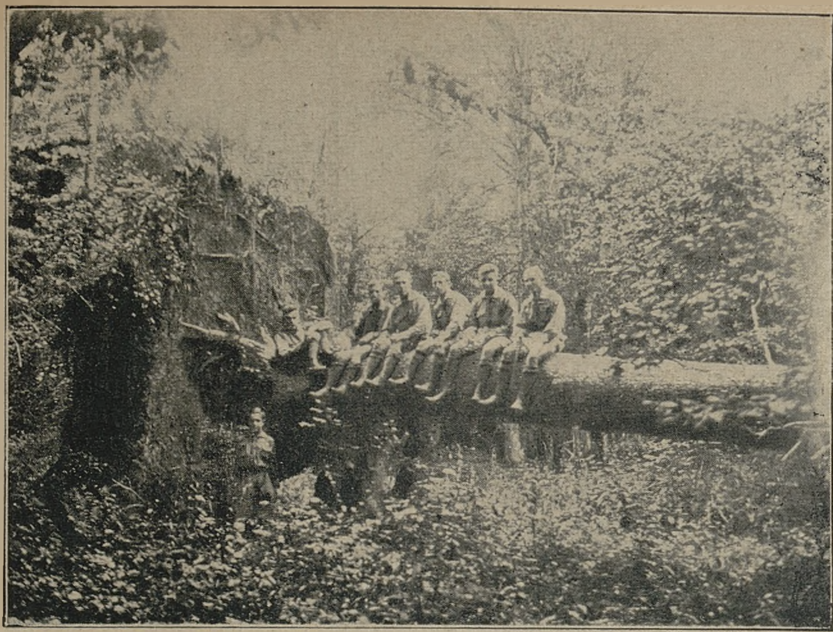
Kubek ciepłego mleka dodał chłopcu sił i animuszu. Mógł już sobie, przy pomocy gajowego, zdać sprawę z przejścia.

Opryszki miały z gajowym leśne porachunki. Zemstę obmyślili piekielną: Kowalski wyjeżdżał właśnie do miasteczka końmi i miał wrócić nazajutrz rano. Po powrocie powinien był zastać tylko zgliszcza i trupy najbliższych.

Do morderstwa miał posłużyć ręczny granat... los nadarzył Edka. Kiedy chłopak schwycił za rękę bandyty, ten trzymał w niej pocisk z wyrwanym już zapałem — musiał wybuchnąć. Przerażony zbir zdołał go odrzucić jedynie o parę kroków i zginął od eksplozji, przygniatając chłopca, a towarzysz jego, który chciał obronić go od Edka leży tam obok z odłupanym wierzchem czaszki.

Godzinę jeszcze bawił Edek u wdzięcznych gospodarzy, a potem wzmógłszy się na siłach, powlókł się do obozu, omijając jak najdalej miejsca nocnego zdarzenia. Obóz jeszcze spał, tylko Jędrek krzątał się przy kuchni. Edek, choć umył ręce i mundur przyprowadził do porządku, przestraszył Jędrka swoim wyglądem. Przez jedną noc jakby wychudł, policzki mu zapadły, oczy miał podkrążone.

Obudzono Kazika. Edek zameldował rzecz w trzech słowach i poszedł spać do namiotu. Spał do południa. O południu (sensacja niebywała w obozie) zjawił się komisarz i policjanci. Indagacja trwała długo, pan komisarz kiwał ze zdziwieniem głową i chwalił odwagę chłopca.



W puszczy białowieskiej 1925.

Po krótkiej naradzie wysłaliśmy Bulwę do pobliskiej „restauracji III klasy z prawem wyszynku napojów alkoholowych".

— Pójdziesz tam z tekstem, zamówisz herbatę i będziesz się uczył roli. Masz dwie godziny czasu.

Po dwóch godzinach okazało się, że Bulwa herbatę wypił, ale roli nie umie.

I stoi teraz przedemną, jako Klara, w jedwabnych pończochach, harcerskim mundurze i piękną, nieco za obszerną peruką empire na głowie.

Nareszcie zabrzęczał dzwonek i rwetes po obu stronach kurtyny troszkę przycichł.

Zielone mundurki siadają na ziemi dokoła żarówki okręconej czerwoną bibułką.

Przykucnąłem za dekoracją.

Kurtyna się podniosła. Zaostrzona wyobraźnia widza mogła ostatecznie wyimaginować sobie obóz harcerski z ogniskiem pośrodku.

Wizję tę utrwalały skulone figurki malców, dmuchających od czasu do czasu w łapy, bo wiatr naprawdę hulał po scenie, jak po polu. Reszta przedstawienia też poszła doskonale...

Jacek Siedlecki.

* * *

Chcąc przyjść z pomocą redakcji „Harcerza" jeden z zastępów „Dwójki" ułożył program artykułów na aktualne tematy, na cały rok zgóry.

Podajemy ich tytuły, wraz z terminem druku.

Styczeń — Sposób układania zielnika.

Luty — Jak rozpocząć pracę powakacyjną.

Marzec — Zastęp w polu (wycieczki z nocowaniem pod namiotami).

Kwiecień — O powstaniu styczniowym (gawęda historyczna).

Maj — Narciarstwo i łyżwiarstwo tudzież inne sporty zimowe.

Czerwiec — Jak spędzać długie wieczory zimowe.

Lipiec—Noc wigilijna (o p o w i a d a n i e).

Sierpień—Tropienie na śniegu (przećwiczyć praktycznie!!).

Wrzesień—Rocznica 3 maja (gawęda hist.).

Październik — Sprawozdanie z obozu zimowego drużyny.

Listopad — Gdy jabłonie zakwitną (wiersz urzędowego poety d-ny).

Grudzień — Jak odróżnić grzyby trujące od prawdziwych.



„Reytaniak"
rzeźba art. rzeźb. Ant. Wasilewicza

Potem Edek spał do obiadu... na ciszy też, ale już podczas gier wieczornych biegał za piłką jak opętany i krzyczał, aż się las rozlegał.

A przed ciszą nocną odbyła się w obozie między Kazikiem, Edkiem i Bronkiem taka rozmowa.

Kazik do Bronka:

— Bronek, dziś od 1 do 2.30 w nocy twoja kolej na wartę.

Bronek chrząknął i spojrzał niepewnie na Edka. Edek spojrzał niepewnie na Bronka i odezwał się:

— Hm, Kazik, to właściwie ja mam wartę, podwójną.

Nie zawracaj głowy — oburzył się Kazik — i tak ledwie łazisz.

To wystarczyło, aby Edek z zapałem zaczął się napierać onej warty:

— Nic mi nie będzie, nie jestem baba.

— Baba, nie baba, ale żeś lasu nie przeszedł na przełaj, to fakt. Będziesz stał w nocy od 12 do 3-iej.

Bronek aż jęknął z triumfu.

Od północy do trzeciej nad ranem wystał się Edek, zwyciężony w zakładzie.

A nieubłagany Jędrek, który go zmieniał na stanowisku, szepnął mu na dobranoc:

— Wiesz co, Edziu, jesteś dzielny chłop, tegoś dowiódł. Ale że gapa z ciebie — to fakt!



W dzień deszczowy i ponury.

PRIMA APRILIS

Do 1-go Maja czekamy na zawiadomienia, kto z Druhen i Druhów zauważył Prima Aprilis Redakcji w N-rze 14. Szukajcie dobrze - w 2 miejscach znajdziecie — trzeba tylko patrzeć i pamiętać.

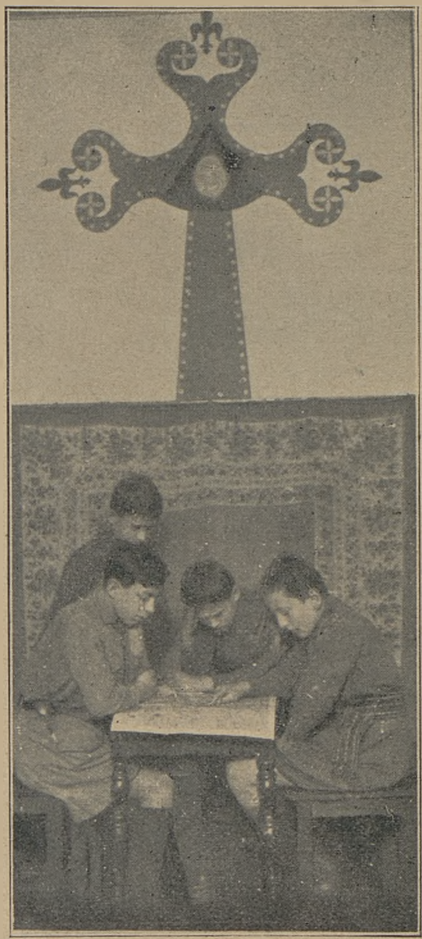
DRUŻYNA O SOBIE

W chłodnych porach roku, główna część pracy ogniskuje się w izbach. Izb mamy dwie, dzięki życzliwości szkoły i trzeba przyznać, że są wykorzystane bardzo dokładnie. Zbiórki zastępów, Rady drużyny, zebrania Gromady Reytaniaków, godziny urzędowe dostojników Drużyny, wreszcie posiedzenia Zarządu K. P. H.

Izb drużyna nie potrzebuje się wstydzić (na zeszłorocznym konkursie Izb dostała „Dwójka“ pierwszą nagrodę). Witraże, wycinanki, na ścianach stare chusty góralskie, wyglądają ładnie. Nie wierzycie, zobaczcie.

Zastępów gnieżdżących się w Izbach jest osiem, jeżeli nie liczyć dygnitarzy z t. zw. administracji. Wchodzą bowiem prawie wszyscy do zastępu szarż. Godłami zastępów są: Wydry (zastęp „sztandarowy“, zyskał I miejsce na ostatnich zawodach zastępów w drużynie), Rysie (zebrały już 300 książek dla Polaków we Francji, z tego 250 w samym zastępie), Łosie (zastęp mistrzowski w obozie, uchował się jakoś do dziś), Orły, (szczyt inicjatywy, specjalność choreografja), Sępy (nie śpiewają bo nie mają głosu, ale zato specjalizują się w ratownictwie na terenie szkoły), wreszcie najmłodsi — Jelenie, Żubry i Lwy (drużynowy mówi, że udali się nieźle, hm, hm).

Wszystkie zastępy współzawodniczą z zapałem. Są zawody stałe i perjodyczne. Do stałych należą: nauka w szkole, obowiązkowość, obecność na zbiórkach. Perjodyczne rozgrywają się przeważnie na zbiórkach miesięcznych drużyny (śpiew, popisy zastępów i t. d).



Kącik izby „dwójki“ z kapliczką huculską

Mózgiem drużyny, jak wszędzie, jest jej Rada — bardzo liczna. Ośmiu zastępowych, trzech przybocznych, sekretarze, gospodarze i t. d. Jednem słowem t. zw. biurokracja. Zbiera się to we wtorki i radzi długie godziny.

Po Radzie zazwyczaj odbywają się zebrania Zarządu Koła Przyjaciół Drużyny.

Koło Przyjaciół istnieje na naszym terenie od roku 1921, a pracując niezmordowanie, zapewnia drużynie moralne i materjalne poparcie we wszelkich poczynaniach. Obecny prezes Koła p. Władysław Dąbrowski od lat trzech z wielkiem poświęceniem kieruje pracami Zarządu.

Najmłodszem pokoleniem Reytaniackiem są Wilczęta, chluba podharcmistrza Starzyńskiego, profesora szkoły. Obowiązków tam mało, wiele zabawy, o wartości pracy świadczy dzielny kontyngent tegorocznych ochotników, który przeszedł dobrą szkołę najstarszego Wilka.

Gromada Reytaniaków jest również młoda, bo liczy sobie zaledwie jeden miesiąc życia i pomaga drużynie uczciwie.

Całej tej pracy przygrywa orkiestra symfoniczna Koła muzycznego przy naszej drużynie. Jest tam 12 instrumentów, a grają nie tylko dziarskie mazurki, ale nawet uwertury oper krajowych i zagranicznych.

Trzeba by pisać jeszcze o bibljotece, sekretarjacie, reprezentacji piłki latającej, jak dotychczas biorącej w skórę, magazynie i owej szafie wielkości stodoły, która się co miesiąc sama rozkłada, ale złożyć ją potrafi tylko drużynowy.

OD REDAKCJI

Wybaczcie, Druhny i Druhowie, że Stryjek nie napisał Wam „Co słychać w Z. H. P.“ — ale wiecie przecież, że Stryjek to „zakuty“ Reytaniak, sami wiecie, że cały ten numer, to głównie Jego głowa i prawie wyłącznie Jego robota. Że zaś tak pięknym ten numer „Harcerza“ uczynił, więc pozwolicie, aby dopiero w następnym numerze dał Wam swe zwykłe uwagi o życiu w Z. H. P.

T. Uhma.

Z powodu braku miejsca w jubileuszowym numerze „Harcerza“ i inne zwykłe działy odkładamy do następnego numeru.

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, Świętokrzyska 11.

NINIEJSZY NUMER POŚWIĘCONY 2 W. D. H. ZREDAGOWAŁ KOMITET W SKŁADZIE:
∴ ∴ ∴ STEFAN ŁOŚ, WITOLD SAWICKI. ZB. STEFAN SZYSZKOWSKI ∴ ∴ ∴

PRENUMERATA WYNOSI: Rocznie — 20 zł. półrocznie — 10 zł. kwartalnie — 5 zł., miesięcznie — 2 zł. (wraz z przesyłką). **Numer pojedyńczy 50 gr.** Prenumeratę wpłacać należy na konto P. K. O. Nr. 10020 albo przekazem pocztowym do administracji „HARCERZA“ w Warszawie, ul. Traugutta Nr. 2 Redakcja Al. Ujazdowskie 37 m. 14. Sekretarjat Redakcji urzęduje od 13½ do 14 codziennie (prócz poniedziałków i sobót). — — — — — CENY OGŁOSZEŃ: Cała strona — 150 zł., ½ strony — 75 zł., ¼ strony 40 zł., ⅛ str. 25 zł.

Wydawca: *Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego.* Kierownik artystyczny: *St. Łoś.* Redaktor: *T. Uhma.*

Klisze wykonano w zakł. chemigr. „Lux“, Elektoralna 14; klisze okładki w zakł. graf. „Kurjera Czerwonego“.

DRUK. L. BOGUSŁAWSKIEGO. WARSZAWA.